Rok II. Kraków, dnia 5 Kwietnia 1883 r. Nr. 7.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.
Z przesyłką w Austryi: rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.
W Wielkopolsce: z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.

Główny współpracownik K. Bartoszewicz.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.

WIOCHNA.

Przez Józefa Kuczyńskiego.

A to bieda z tem latem!.. parno jakby w łaźni
Nawet w nocy... no jeszcze kiedy ode żniwa
Wrócisz, — to sam sen jakoś przychodzi ci raźniej, —
Ale niech no we święto z nudy się wyśpiewa,
Ciągając się po lesie, — no — to i noc cała
Przejdzie na jakichś głupich myślach... ba! — niema co,
Trzeba wstawać... na dworze rosa zabielała, —
W okienko puka jakieś maluchne ladaco,
Jaskółka pewnie... czekaj!.. widzisz, że już stoję —
Raz... dwa... ot — i gotowa jestem!..
Sza!.. czy licho? —
Przeklęte drzwi tak skrzypią!.. no, na szczęście moje
Ojciec chrapie aż miło, — kręćmy się więc cicho..
Wrócił późno... niech za to dziś wyśpi się sobie...
Toć to nie żart leśnikiem być w tak wielkim lesie!..
Już ja za nas obojga co potrzeba zrobię!..
A naprzód... w chłodnej wodzie chce się, czy nie chce się
Muszę dobrze się umyć... cóż robić, że chłodna? —
Ale oczy już potem nie kleją się za to,
A więc wiadra na plecy — i do studni!.. do dna!
Bo i mętna i ciepła z wierzchu... zwykle lato!.

Jaki ten świt leniwy!.. ledwie, ledwie wschodzi,
A las jeszcze go więcej zasłania..
Eh, czasem
Aż straszno, że tak sami mieszkamy pod lasem!.
Zawsze to w wiosce śmielej... a nuż jaki złodziej
Zakradnie się, gdy właśnie ojca niema w domu..
Złodziej?.. wstyd mi!.. ktoś może myśleć, żem tchórzliwa...
Oho!.. nie tak ja łatwo dam się byle komu!..
Toż strzelba mnie od dziecka już nie żadne dziwa,
A raz tom w noc zimową dwóch wilków zabiła, —
A i w jaskółkę nawet.. tylko, że wraz mięknę,
Skoro ptaszka zobaczę... ale gdyby była
Kiedy potrzeba bronić swoich, — to — lękliwa
O śmierć ptaszka -- człowieka złego się nie zlęknę!..
No a kiedy ja sama wyruszę do żniwa, —
Przecie Burek tu, a on silniejszy odemnie...
O!.. o!.. jak się wyciąga i zębami klapie,
Pewnie śni, że jé cości albo muchy łapie...
No Burek, wstawaj!.. pora!.. tak leżeć daremnie,
Gdy świta, — to wstyd!. wstawaj!..
A, poczciwe psisko!..
Tak mi skoczył radośnie do twarzy, że mało
Nie przewrócił... a pójdziesz!.. nie kręć się tak blisko!..
Widzisz: pół wiadra wody darmo się wylało...

No, nie gniewaj się Burek, — ja wiem — to z miłości!..
Mniejsza też o mnie samą... lecz sukienkę zmoczę...
Czekaj, aż się umyję! — to do szafy skoczę —
Poszukam ci wczorajszych skórynek i kości,
A będziesz miał śniadanie!..

ECHA.

Na smutnym byliśmy pogrzebie.

Pochowaliśmy zwłoki Juljana Horaina, pisarza niewielkiego ale poczciwego talentu, człowieka ciężko zgnębionego losem i chorobą.....

Horain, zamożny niegdyś obywatel, potomek senatorskiej rodziny co wydawała biskupów i wojewodów, umarł w nędzy, sparaliżowany od lat wielu, tułacz kilkunastoletni na obczyźnie i między swymi. Zostawił żonę i dwoje nieletnich dzieci bez żadnego utrzymania. Jeden tylko syn starszy, którego pozostawił w Ameryce, sam pracuje na kawałek chleba.

O literackiej działalności i o życiu Horaina żaden z naszych dzienników nie podał nawet kilkunastu wierszy. Najlepszy to dowód jak nasi «literaci» mało się literatami zajmują, a raczej jak nie chcą wiedzieć o sobie. Próżnię tę choć kilku datami pragniemy wypełnić.

Horain Juljan, syn Adama, urodził się na Litwie w Roszkowicach pow. wilejskim w r. 1821. Ukończywszy szkoły średnie w Mińsku udał się na uniwersytet moskiewski.

W Moskwie dał się już poznać ze swemi zdolnościami. Szewyrew, prof. literatury powszechnej, odznaczył jego wypracowanie napisane obowiązkowo po rosyjsku. Pracę tę wydrukował Moskwitianin, zachęciwszy tem Horaina do dalszej działalności na niwie literackiej. Pragnąc dopomódz sobie materjalnie kilka jeszcze artykułów literackich pomieścił w Moskwitianinie.

Skorzystał ze swojej znajomości rossyjskiego języka i przełożywszy Fredry «Nocleg w Apeninach» wystawił go na scenie moskiewskiej p. t.: Apeninskaja nocz! Jako honorarium otrzymał prawo bezpłatnego uczęszczania do teatru przez dwa lata.

Z Moskwy pojechał do Paryża, gdzie dalej kształcił się i oddawał dziennikarstwu francuzkiemu. Powróciwszy do kraju korespondował wierszem ze znanym na Litwie wierszokletą Wasilewskim. To go zachęciło do próbowania sił na polu ojczystej literatury i poezji, zwłaszcza, iż Wasilewski bez jego wiedzy wydrukował rymowaną korespondencję, która się ogólnie podobała.

Przez stosunki otrzymał miejsce w jen. gubernatorstwie wileńskiem, ale po przybyciu Bibikowa wkrotce przez tegoż usunięty został.

W roku 1852 przybył do Warszawy i wstąpił do redakcji Dziennika Warszawskiego wydawanego przez Henryka Rzewuskiego i Juljana Bartoszewicza. Pobierał jako stały współpracownik 300 rs. (2000 złp. pensyi. Drukował w «Dzienniku» kilka powiastek i małe studjum o przysłowiach.

W r. 1854 porzucił Warszawę i udał się na Litwę w okolice Mińska. Otrzymał jakiś spadek i postanowił chodzić za płu-

Jaka woda chłodna! —
Ale zato jak świeżo!.. no teraz mi prawie
Tylko zmówić pacierze, a będę swobodna
I wody do ziemniaków gorącej nastawię...
A, prawda!.. jeszcze włosy...
Eh, jak poplątane!..
Najnudniejsza robota, zanim w kosę splotę...

Co to?.. patrzaj-że Burek! już słoneczko złote
Zwolna o naszej chatki ześlizga się ścianę,
Jak pięknie!.. zaraz zejdzie i na włosy moje...
No!.. to już nam się śpieszyć nie na żarty trzeba!..
Naprzód?.. aha!.. świeżego, razowego chleba
I ziemniaków solonych do misy nakroję. —
Potem wprost do jałówki!.. — co to słychać w chlewie
Przeżuwa sobie trawę i nic jeszcze nie wie,
Żem wstała dawno... pójdę!.. — i prędko wydoję, —
A nim ojciec strudzony zbudzi się i wstanie,
To będzie miał na stole już pańskie śniadanie! —

A, jeszcze!.. muszę nasze otworzyć okienko,
W chacie duszno... niech sobie powietrze się chłodzi...
„W gaiku zie...“ tss... czy licho nadało z piosenką...
Nic... śpi...
Bo też, co prawda, — to z piosenką słodziej
Każdej rzeczy się imać... Albož mnie kto broni?..
Śpiewam przecie już nie mniej od jaskółki samej -
Niech no ojciec się zbudzi, a śpiewaniu damy
Na cały dzień swobodę...
No, wiadro do dłoni —
I do chlewu!.. precz Burek!..
O!.. jakie to głupie,
A poczciwe... tak patrzy, jakby się cieszyła, —
Czekaj! — niech ja ci dwonek na jarmarku kupię
I wstążkę... toż dopiero będziesz się dziwiła! —
No, no!.. nie kręć się tylko... jak zjemy śniadanie, —
To Burek cię do stada dworskiego zapędzi..
Nie!.. już lepiej ja sama, a Burek zostanie...
Pójdę żąć!.. by zarobić na twój dzwonek prędzej!

Dla Boga!.. ja tu gadu, i ani mi w głowie,
Że to dzisiaj we dworze dożynki... o, muszę
Przybrać się jak należy!.. niechaj nikt nie powie,
Że mnie nie stać na nowy gorset lub trzewiki...
Tak!.. trzewiki!.. boso przecie nie wyruszę...
Boso?..
Że też, doprawdy, nasz panicz ma dziki
Taki gust!.. no ten, co to ciągle przy mnie stoi,
Gdym u żniwa... powiada, że mi w zgrzebnej mojéj
Po kolana sukience, — bez gorsetu, boso!..
A nawet... z poplątaną, rozpuszczoną kosą,
Najładniej jest... no — panicz — grzeczny i niczego -
W nos nie ćmi... szkieł na oczy jak ślepy nie kładnie!
Brzydkiem słowem serduszka nie draśnie mojego...
Muszę więc wierzyć, że mnie naprawdę tak ładnie! —
Lecz znów...
E, do południa pójdę tak jak stoję, —
Potem chyba na chwilkę zlecę — i w bóciki
Z podkówkami do tańca prędko się przystroję, —
I w gorset...
Że też panicz ma gust taki dziki!..

. . . .

CYGANKA.

SZKIC

Józefa Kuczyńskiego.

Była sobie jedna polna różyczka, wpośród jedwabnistych listków maku, w cieniu złotych słoneczników wykwitła, wstydliwie kryjąca się przed natrętnem gruchaniem koników polnych, przed strzelistemi promyki słońca, a zasłuchana majowemi nocami w pieśń słowiczą, płynącą od topolowego pałacu i letniemi rankami w budzącą się do życia przyrodę.

Czasem tylko jakiś maluchny o tęczowych skrzydełkach motylek natrętnie tulił się do jej łona, co od wstydu buchało upajającą wonią i nadstawiało pazurki ostre, broniąc swojej niesplamionej sukienki...

I zdawało się różyczce, że ten słonecznik, ten mak i te bratki, co ją okalały dookoła, to jej rodzone siostrzyczki i ten wiejski ogródek ocieniony płaszczem topolowym, to jej macierzysta siedziba i ta zapadła wioszczyna o pochyłych, mchem i pleśnią pobitych chatach, to jej jedyna ojczyzna.

I dobrze było siostrzyczce bratków w tem otoczeniu, a choć czasem dumny słonecznik, odurzony pieszczotą wietrzyku, odtrącał ją lekko od siebie, to dość było różyczce spłonąć wonnym rumieńcem od żalu i zapłakać srebrnym deszczem rosy, a zawstydzony słonecznik znowu nachylał się nad nią i szemrząc ciche prożby o przebaczenie otrząsał łzy ostatnie z jej wstydliwie stulającego się łona.

Było sobie jedno małe dziewczątko...

---

giem. Sąsiadował z mieszkającym w Załuczu Syrokomlą i w serdecznej żył z nim przyjaźni, czego pamięć pozostawił w wdzięcznych choć zbyt fantazyjnych opowiadaniach, drukowanych przed rokiem w Gazecie Lwowskiej. On to zachęcił Syrokomlę i Korotyńskiego do tłomaczenia Berangera.

Odtąd przez długi czas mało było słychać o Horainie. Przypominały go od czasu do czasu te «Chwile stracone» zbiorek poezyj wydany w Wilnie, to przekłady Wisemana (Lampa w przybytku pańskim) i Feuilleta (Domowa Zagroda). W Tygodniku Illustrowanym umieścił dłuższą powiastkę «Ostatni z Kończyców» Nieszczęścia krajowe wpłynęły i na jego materjalne stosunki. Kontrybucje zniszczyły zamożność, a prześladowania ze strony rządu do tego stopnia go zniechęciły, że pozbył się majętności i w kilka lat po ślubie ze swoją kuzynką, córką emigranta, porzucił kraj z żoną i dziećmi i udał się do Ameryki.

W Ameryce stracił resztki funduszu. Mieszkał czasowo w Hoboken pod New Yorkiem i w Chicago, gdzie redagował polskie czasopismo. W New-Yorku wydał powiastkę humorystyczną obszerniejszego zakroju: «Cztery p. jedno r.» Listy jego pisane do «Gazety Polskiej» cieszyły się wielką wziętością.

W New-Yorku wydał tablicę symboliczną do historji amerykańskiej, która w Stanach Zjednoczonych miała powodzenie.

Sparaliżowany, bez środków utrzymania, powrócił w r. 1879 do kraju. Osiadł początkowo we Lwowie, a następnie przeniósł się do Krakowa. Na kawałek chleba zarabiał nowelkami i korespondencjami; pierwsze były odgrzebywaniem wspomnień czasów i ludzi litewskich, drugie mniej więcej udatnemi kompilacjami z gazet amerykańskich. Prócz tego miewał humorystyczne odczyty, z któremi występował po miastach galicyjskich i w miejscach kąpielowych. Raziła wielu amerykańska reklama, jaką się posiłkował, ale gdy się zważy, że sparaliżowany staruszek, zniedołężniały już umysłowo, musiał utrzymywać całą rodzinę, to takiej reklamie wiele przebaczyć można.

«Przegląd» nasz drukował parę nowelek Horaina i jedną z nich posiada redakcja jeszcze w swojej tece. Odznaczał je wszystkie pewien humor i myśl poczciwa, co zastępowało mniej udatną formę.

Horain zmarł prawie nagle 28 Marca. Drobne składki zebrane w «Kole literackiem» opłaciły część kosztów pogrzebu.

Na cmentarz odprowadziło zmarłego starca zaledwie dwadzieścia parę osób. Z braci po piórze nie było prawie nikogo. «Potęgi słowa i myśli» nie raczyły rzucić garści ziemi na grób biednego literata. Nawet senatorski ród zmarłego nie pomógł mu w pewnych sferach..... Bodaj to być biednym literatem!.....

«Koło literackie» złożyło wieniec na trumnie Horaina. Szczęście, że ono istnieje, bo inaczej każdy z piszących a niesprzedających się, mógłby mieć nadzieję, że pogrzebią go w wspólnym dole, a na mogiłę nikt listka nie rzuci.

Dali jej imię Naścia, dali prostą, zgrzebną koszulinkę, kołysali ją do snu echami pieśni ludowych, kołysali ją szumem puszczy poleskiej, co wiankiem otaczała wioskę całą, kołysały ją letnie wiatry w przewieszonej na dwóch kijach kołysce, na zżętym zagonie żyta, a w lat kilka posyłano ją pilnować gęsi nad stawem i zbierać jagody w lesie i wiązać snopy na polu.

Zupełnie tak, jak dziecko wioskowe...

Ale dali jej także ojcowie jakieś wielkie, czarne, wilgotne oczy i rysy jakieś niechłopskie i twarzyczkę śniadą, południową...

I drażnili ją często swawolne chłopaki tem jednem słowem: cyganka!

A ona gniewała się i wstydziła, jakby za grzech jaki...

A była to prawda.

Ale była to różyczka, wyrosła w *wiejskim* ogródku, co *wiejskie* bratki nazywała siostrzyczkami i *wioskę* jedyną swoją ojczyzną, co nieledwie wstydziła się praojców swoich, błądzących po wszystkich ogrodach świata...

Pamiętam Naście...

Pamiętam w skwarne, letnie upały jej wiotką postać, schyloną przez długie godziny u brzegu złotych stepów pszenicznych, a potem wieczorami jej brylantowy śmiech i zręczne utarczki z chłopakami i piosnki,—głos miała świeży, dźwięczny, w które wsłuchiwałem się często. A kiedym, jak każdy marzyciel chciał żałować jej doli, co miała niby marnieć tak bezbarwnie w pracy i trosce o chleb powszedni, to spojrzawszy na nią świeżą, wesołą, roześmianą, zazdrość mię tylko brała i upokorzenie jakieś...

Pamiętam Naście, kiedy w dożynkowym wianku żyta majestatycznie zbliżała się ku dworowi, o świeżym, balsamicznym zachodzie sierpniowego słońca, przodując śpiewnej, na sto głosów rozbitej piosence...

Pamiętam ją, kiedy stawała na przyźbie swej chaty w dzień zimowy, mroźny, rozwichrzony...

W powietrzu migotały brylantowe kryształki, po wiosce biegały wesołe, rumiane chłopaki, ze śmiechem i gwarem przewracając się na wygładzoną, puchową pościel, od czasu do czasu odzywał się wesoły dzwonek i przebiegały długim szeregiem lekkie saneczki po chrust do lasu, a od lasu rozlegały się echa toporów, psów głosy i gromkie nawoływania młodych leśników i wystrzały, załamujące się w majestatycznej gammie odgłosów.

Zdawało się, że wszystko wyszło na spotkanie święta północy — zimy.

A ją chwytała jakaś tęskność nieujęta i dreszcz jakiś miłosny i zwolna, nieznacznie zaczynały płynąć od jej chaty po szerokiej śnieżnej równinie echa smutnej, a melodyjnej piosenki:

Ty biarozka nie ciaréblenaja,
Ty dziauczyna nie palublenaja...

I byłaby może doczekała się Naścia dnia, w którym powiedliby ją młodzi drużbowie do cerkwi — ślicznie ubraną, poprzez łzy uśmiechającą się do strojnego jakiegoś, obok idącego mołojca. I byłaby doczekała się może dnia, w którym młoda matka zaczyna stroić w białe pieluchy, w maluchne koszulinki jakąć misternie przez męża, ze świeżych łóz uplecioną, kołyskę, aby potem godziny całe siadywać nad tą swoją domową świątynią, coby już ją na zawsze zespoliła i z wioską i z bytem wieśniaczym.

Ale...

Dość było iskry, aby «natura zbudziła się dzika, w wynaturzonem dziecięciu cyganki.»

* *
*

Był to młodzieńczy, ognisty sen nocy letniej...

W dożynkowym wianku stała przedemną jak królewna pierwotnych, dziewiczych plemion, orzucona w lekkie draperje białej, przewiązanej u pasa i spadającej do ziemi koszuli. W greckiej, klasycznie falującej linji, obnażona ręka bezmyślnie igrała z kruczym włosem i kłosami spadającemi wespół na czoło, a oczy czarne, wilgotne, rozżarzone śpiewem i muzyką, tańcem i poczęstunkiem, siały dookoła fosforyczne iskry, a śniady, wschodni profil co chwila musiał przechylać się i gniewnie strząsać poza ramiona krucze, nieposłuszne kręgi rozsypanej kosy.

I stała tak niedbale sparta o kolumnę oszklonego dworskiego przedsionka, obok suto zastawionych stołów, co chwila podnosząc do ust spieczonych czarkę z napojem. A przez drzwi otwarte wchodziła noc letnia, miesięczna, z symfonją przytłumionych głosów i szmerów, z kłębami wonnej, świeżej, pachnącej sianem i zwilgotnionej rosą atmosfery swojej...

A przez spocone szkła przeglądał się żyrandol gwiazd i czarna, olbrzymia paszcza bezładnie splątanych altan i alei ogrodu.

I stała tak — a przed nią senne kołysały się pary w tańcu jakimś smutnym i melancholijnym, zrodzonym w tej zapadłej okolicy Polesia i, jakby dla analogii z jednostajnym, ponurym szumem wichrów zimowych, przezwanym *miecielicą* (zawierucha).

A wtórząc tym na wpół sennym ruchom, ponuro huczał bas i żaliły się przytłumionemi jęki skrzypce, i jedne tylko pałeczki w wprawnych palcach jakiegoś dziarskiego mołojca zdawały się raźnym wtórem swoim pobudzać kołujące pary do gromkich i ognistych hołubców.

Oddawna wyróżniałem Naście z pośród całego grona dziewcząt wiejskich, a kilka pocałunków skradzionych na sianożęci spoufaliły nas....

Gdyby ten jeden tylko obowiązek «Koło» spełniło, jużby miało zasługę i rację bytu.......
Smutno!

Piszą nam z Tarnopola:

Że w Tarnopolu uczczono w lutym b. r. 24-tą rocznicę śmierci Zygmunta Krasińskiego publicznym odczytem o życiu i pismach tego wieszcza, o tem donosiły w swoim czasie dzienniki krajowe; ale nigdzie podobno nie było dotąd wzmianki o ukazaniu się tego odczytu w druku, a przecież fakt ten może nawet ważniejszy od pierwszego. Bo jeżeli z jednej strony żywe słowo silniejsze sprawia wrażenie w umyśle słuchacza, niż pisane—w duszy czytelnika; to z drugiej strony ostatnie rozchodzi się i sięga nierównie dalej, niż głos rozchodzący się w szczupłej przestrzeni, ograniczonej czterema ścianami sali odczytowej. Dlatego podwójna jest zasługa Dra Kosiby, który odczytem swoim nietylko uczcił pamięć wielkiego poety i dał przykład godny, bo go i w innych stronach kraju naśladowano, ale oraz zwrócił w stosownej chwili uwagę rodaków na jednego z największych wieszczów naszych, któremu nikt nie odmówi miejsca obok Mickiewicza.

A dlaczegoż dotąd tylko Adama rocznicę zgonu obchodzono uroczyście, urządzając na jej uczczenie wieczorki muzykalne i odczyty po miastach a nawet miasteczkach naszego kraju? Może dlatego, że Krasiński nie jest poetą popularnym, że dzieła «tego wieszcza natchnionego, tego proroka narodowego, tego filozofa i humanisty wszechstronnej wiedzy, tego poety pełnego głębokich uczuć religijnych, tego męża pałającego żywą miłością ku Bogu, ojczyźnie i ludzkości» nie wielu znajdują czytelników, a i z tych co go czytają, mała tylko liczba rozumie go i z szlachetnych jego myśli i wzniosłych jego zasad korzysta? Toć właśnie byłby powód, aby ci, co poetę rozumieją, co się utworami jego zachwycają, słowem i piórem starali się ułatwić innym zrozumienie pism jego, aby koło czytelników i wielbicieli Zygmunta coraz bardziej rosło, aby jego zasady i mysli szczytne coraz bardziej rozpowszechniały się w narodzie, a osobliwie w młodszem pokoleniu. I kiedyż stosowniejsza może być do tej pracy pora,

Obecnie więc, widząc ją w postawie tyle malowniczej, prawie mimowoli zbliżyłem się ku niej.

— Jak oni tańczą?.. zacząłem ironicznie, starając się podpowiedzieć własną jej myśl, wykradającą się z poza złośliwie skrzywionych ustek, — pokaż się ty Naściu...

«Pokaż się *(pokażу sie)*» oznacza w naszem poleskiem narzeczu: «pokaż co umiesz.»

Uśmiechnęła się.

— Z paniczem?..

— E, nie!.. jakbym ci tylko przeszkadzał... lepiej sama...

Chwilę ociągała się, ale widocznie dla tego tylko, aby mieć przyjemność widzieć mię nalegającego...

Znać było, że już ją samą znudziła zajęta przez nią pozycja obserwacyjna.

A więc... «przegięta na bok z ogniami w źrenicy, szła w taniec dziki, ognisty, szalony!.. i od jej ruchów, od ocz błyskawicy ożyły grajka martwiejące tony...»

Przepisuję... mistrzem nie jestem... jej tańca słowy odtworzyć nie śmiem...

Z ciężkim, przerywanym oddechem, słaniając się, rozogniona wybiegła na ganek...

Duszna atmosfera tanecznej sali, zaimprowizowanej ze szklanego przedsionka, paliła ją...

Ale ganek osiedli poważni starce z gromady, co z czarką w ręku gwarzyli sobie, kołysani muzyką, oddalonym gwarem i tupotaniem miarowem tańcujących par...

Ale przed gankiem kłóciło się niewyraźnie kilku pijanych zataczając się, kilku zas innych malowniczo rozłożonych na trawniku, pogrążyło się w niemą kontemplację, przerywaną od czasu do czasu heroicznemi wysiłkami, skierowanemi ku odzyskaniu utraconej równowagi.

Między zas tem wszystkiem snuło się swobodnie kilka par gruchających, zabezpieczonych od zwrócenia na się uwagi zarówno zgęszczającym się mrokiem, jak i powszechnym gwarem i obfitym poczęstunkiem.

Naścia śpiesznie przebiegła mimo, a czując, że podążono za nią (sama jedna wieczorem lękałaby się), nie zatrzymała się, aż w ogrodzie przy młodym bzem obrosłej, a więc otwartej dla księżycowego światła altance.

Znalazłszy się tu, upadła ciężko na darniową ławeczkę, ale słysząc moje kroki podniosła się prędko i usiadła, wcisnąwszy się głęboko w bzy, oparta plecami o ich ścianę.

Nieokreślony jakiś uśmiech igrał na jej wilgotnej, nerwowo poruszającej się twarzy...

Stałem przed nią, coraz widoczniej poddając się urokowi...

— Jaka ty jesteś piękna!.. szepnąłem pieszczotliwie, pod wpływem jej pytającego wejrzenia, przechylając się ku niej nieśmiało...

— Doprawdy?

Karminowe jej usta tak nęcąco odsłoniły szereg białych ostrych ząbków, wymawiając to słowo, zaokrąglona miękko pierś poruszała się tak gwałtownie, zapewne pod wpływem niedawnego tańca i znużenia, wreszcie oczy jej były takie wilgotne, głębokie, wyzywające!..

— Doprawdy... odparłem przerywanym szeptem, nie mogąc już pohamować namiętnego wzruszenia...

Siedziałem już przy niej, otaczałem ją ramieniem swojem i czułem jej gorący oddech na mojej twarzy...

Dobrze nam było... nie ruszaliśmy się długo.

Ale krew młoda burzyła się... już mi tego było za mało...

Nasamprzód stały na drodze karminowe usta.., przytuliłem je do swoich długo, ogniście, — starając się wyssać wszystek żar, którym zionęły...

Ale milczenie ciążyło nam... czuliśmy, że należało choćby kłamliwemi słowy oszukiwać niebezpiecznie buntujące się namiętności...

— Jakie ty masz słodkie usta... wysiliłem się wyszeptać z możliwie spokojnym uśmiechem, robiąc nieokreśloną alluzję do przerwanego przed chwilą pocałunku, a starając się wypowiedzieć to takim tonem, jak gdybyśmy się bawili przez płot w niewinne, oczkowane zaloty...

W podobnych razach trudno o subtelne *causerie*. Piękna moja zdobyła się również tylko na kłamliwie ironiczny, niedowierzający wykrzyknik:

I znowu milczenie.

— Wiesz co Naściu, będziemy się kochać, — wybuchłem urywanym szeptem, gwałtowie przyciągając ją do siebie...

Zbudziła się pierwsza... Odtrąciła mnie z siłą, choć bez gniewu...

Musiałem zabawnie wyglądać... Zapanowała nad wzruszeniem, roześmiała sią głośno, nienaturalnie, przeciągle... Z jakimś gorzkim wstydem, spoglądałem na nią przez chwil kilka, w ciągu których usiłowała przybrać pozę tryumfującej bachantki...

Ale nagle urwała, podniosła się z ławeczki i spojrzała w stronę oświetlonego mieszkania...

— Późno!.. chodźmy... wymówiła prędko, półgłosem, skierowując się pierwsza ku wyjściu z ogrodu...

Zatrzymała się jednak prędko. Od stawu, około wioski uszu naszych doleciały jednocześnie oddalone jakieś gwary, a nawet jak gdyby jakiś śpiew, niezwykły w porównaniu z monotonną, jednostajną nutą pieśni wioskowych. Zdziwiło to nas, bo wiedzieliśmy, że cała prawie wioska, a szczególniej wszyscy ci, co chcieli bawić się i śpiewać, zgromadzeni są na dożynkach.

Drzewa zasłaniały nam nieco widok; zaciekawieni więc wybiegliśmy przed ogród. Z po za mglistych oparów migotało jakieś światełko, niby płomyk rozłożonego ogniska.

— To pewnie chłopcy wyjechali z końmi na nocleg, zauważyłem...

— Jak raz!.. chłopcy, by opuścili dożynki, oburzyła się Naścia, wszyscy są tutaj... puszczą konie wróciwszy...

— Chodźmy zobaczyć, ośmieliłem się zaproponować, z zachęcającym, ale mocno niepewnym siebie uśmiechem. Naścia jednak przyjęła propozycję łaskawiej, niż sądziłem. Zamiast zwyczajem swoim roześmiać się i zbić mnie tem zupełnie z tropu zaczęła się wahać.

— Oho!.. a jak zauważą, że nas niema...

— Gdzietam — uspakajałem, nadając temu ton zupełnie pewny swego, nawet z niejakim odcieniem niecierpliwości, jak gdybym się dziwił, że podobnie dziecinne pytanie mogło mieć

---

jak obecna, kiedy tylu powstaje fałszywych proroków i apostołów głoszących zasady przewrotne i zgubne? Jeżeli chcemy, aby młodzież nasza nie utonęła w materjaliźmie tego wieku, zaszczepiajmy zawczasu w młodą jej duszę wzniosłe, wiekuiste prawdy, które wyznawał i słowem natchnionem głosił Krasiński. Że te prawdy, te idee zawarte w jego utworach wykazał i podniósł Dr. Kosiba w odczycie swoim, odznaczającym się gruntowną znajomością rzeczy, jasnością wykładu i pięknością języka, a tem samem zachęcił do czytania Krasińskiego i rozumienie pism jego ułatwił, — za to należy mu się uznanie i wdzięczność od wszystkich wielbicieli Zygmunta. To też życzyć wypada, aby książeczka ta, z której dochód cały autor przeznaczył na korzyść tarnopolskiej bursy nauczycielskiej, znalazła się w rękach jak najliczniejszego koła czytelników.

---

miejsce, — gdzie tam!.. wszyscy pijani... każdy sobą zajęty... zresztą to blisko... prędko wrócimy.

— Tak ciemno... ociągała się jeszcze Naścia.

— Chcesz — wezmę strzelbę?..

Kobieca ciekawość, a może i coś więcej przemogły. Co do mnie, wyznaję, że więcej nęciła mnie przechadzka sam na sam z Naścią, niż owo światełko, po którem nie obiecywałem sobie nic nadzwyczajnego.

Niedługo byliśmy na wązkiej drożynie, wężykowato prowadzącej przez sianożęć, na wpoł odrosłą po skoszeniu i sięgającą już wyżej kolan. Gdzieniegdzie przerywała ją zbielała smuga rżyska, gdzieniegdzie świeżo rozorany popar, ciemną zbruździoną plamą kładł się na tem tle pożółkłej nieco, ale jeszcze nieusychającej zieloności. Obecnie wszystko to zlewało się prawie, przypruszone gęstą, mokrą rosą, otulone ciemną płachtą mroku, co zapowiadał nadejście nocy.

Starałem się iść obok Naści, ale trudno to było, bo drożyna była wązką, a dziewczyna widząc mnie broczącego obok siebie po rosie, nieproszona ustępowała mi zaraz z drogi. Ale w końcu nie bez kryjomego uśmieszku, uległa i pozwoliła się nawet ująć lekko za rączkę.

I szliśmy tak, a jakieś spokojne, rozmarzające upojenie zaczęło opanowywać nas. (dok. nast.)

JASKÓŁKA.

(„Les hyrondelles.“)

Smutny, na pustym brzegu dalekiego morza,
Stał wygnaniec, poglądając tęsknem okiem w strony,
Kędy uśmiech śle ku słońcu zrumieniona zorza,
Kędy leży kraj rodzinny, dawno utracony...
Jaskółeczkę ujrzał... Ona zdaje się leciała
Właśnie z strony tej, ku której dusza mu się rwała...
Siadło ptaszę nieopodal i szczebioce miłe...
Więc wygnaniec duma, z sercem łzawem do boleści:
„O czem ty mi tam szczebioczesz, o czem mówisz tyle,
„Jaskółeczko?.. Maszże dla mnie z mej Ojczyzny wieści?..

„Ptaszę miłe! Już od dawna by najsłabsze echo
„Do nas, smutnych tu wygnańców, z kraju nie dolata...
„Może tedy ty przybywasz stać mi się pociechą?
„Może chcesz mi wyszczebiotać wieść z mojego świata?
„Szczebiocz, ptaszę!.. Znasz się przecież z moją tam doliną,
„Kędy po zielonej łące dwa strumienie płyną,
„Kędy szumią ciemne gaje, ukochane gaje,
„Których oddech tyle woni, tyle życia mieści!..
„Boże!.. Jakże żywo luby obraz w myśli staje!..
....„Jaskółeczko! Maszże dla mnie z stron rodzinnych wieści?..

„Ptaszę! Może ci znajoma moich ojców chata,
„Gdzie mi niegdyś po raz pierwszy zaświeciło słońce,
„Gdzie dziecinne i młodzieńcze upłynęły lata,
„Gdziem z okienka w świat posyłał moich rojeń gońce?
„Znaszże ty, o miłe ptaszę, moją matkę starą?..
„Żyjeż ona? lub już struta gorzkich smutków czarą?
„Ona mię kochała!.. Jeszcze w chwilę śmierci pewnie
„Mnie wyglądał wzrok jej, pełen i łez i boleści..!
„I z ostatniem tchnieniem — za mnie modliła się rzewnie!
....„Jaskółeczko! Maszże dla mnie z mojej chaty wieści?

„O ptaszyno! Czy też znasz ty moją siostrę miłą?
„Jak to dawno, gdym ją żegnał już po raz ostatni!.
„Och niepróżno młode liczko łzami się rosiło,
„Kiedym na jej ustach kładł mój pocałunek bratni!..
„Pomnę — wówczas *Ona* była razem z siostrą moją;
„Jak dziś widzę — rozpłakane obie przy mnie stoją...
„*Ona*, gołąbeczka moja, uśmiechnąć się chciała,
„Ale uśmiech się rozpłynął w łzach pełnych boleści,
„Gdy na pożegnanie bladą skroń mi swą podała!..
...„Jaskółeczko! Maszże dla mnie od kochanki wieści?..

„Ptaszę lube! Znałaśże ty towarzyszy moich?
„Tych, z któremim dzielił radość w lata me dziecinne,
„Którzy potem opuścili chaty ojców swoich,
„Dzieląc ze mną już nie śmiechy... lecz nadzieje inne?..
„Powiedz: czy z nich który wrócił pod rodzinną strzechę,
„Aby po zawodach krwawych w ciszy mieć pociechę?..
„Lub też może nikt nie wrócił? Może wszyscy legli
„Śmiercią prawych synów kraju, śmiercią pełną cześci,
„Na tych polach, kędy z wiarą i nadzieją biegli?..
....„Jaskółeczko!.. Maszże dla mnie o mych braciach wieści?..

„O ptaszyno miła! Wszakże twoje lekkie skrzydła
„Z mej Ojczyzny cię przyniosły?.. Toż mi powiedz, ptaszę,
„Coś o kraju: czy aż dotąd wrogów moc obrzydła,
„Depce świętą moją ziemię, święte niwy wasze?..
„Boże wielki!.. Może też i w mem rodzinnem siole,
„Wróg plugawy pięścią zdobył miejsce przy tym stole,
„Kędy moja biedna siostra zapłakana siada?..
„Może brudna chmara wrogów i tam już się mieści,
„Gdzie się tuli z łzą tęsknoty ma gołąbka blada??..

. . . .

„Jaskółeczko!.. Jakież smutne mi przynosisz wieści?!..“

Z Berangér'a **L. Kozłowski.**

WESELE W ZAWADZIE *)

Szkic z życia ludu.

Jednym z najciekawszych, a dotąd najskrupulatniéj przez lud zachowywanych obrzędów jest obrząd weselny.

Głównymi aktorami są oprócz państwa młodych «starostowie,» których liczba nieraz na bogatem weselu i do dwudziestu dochodzi, bezwarunkowo atoli jako świadków zawarcia ślubu dwu być musi zawsze. Oprócz tego są drużbowie i «druscki», a między nimi zawsze jedno musi być «starsem». Starają się zwykle o ludzi trzeźwych na drużbów; ich obowiązkiem spraszanie gości na wesele. Jeżeli nie ma drużbów, sprawą tą zająć się musi sam pan młody.

Przyszedłszy prosić na wesele zwykli mówić jak następuje: «Prosi pán uociec, pani matka, pán młody [1]) z pani młodom na to wesele, co sie ściele przez trzy niedziele; byście byli niewymowni (tj. nieodmówili) na przysły wtorek (lub środe) do kościoła bozego przyozdobić mogli, jako sám Pániezus (Pàn Jezus) przyozdobiuł góry lassami, powietrze ptákami, ziemie kwiátkami, aby my mogli przyozdobić do kościoła bozego i do stołu Pietra świętego, cyli do aktu Sakramentu świętego, bo ci młodzi idą do spowiedzi przed weselem, a z kościoła bozego, do domu uojcoskiego, choć ubogiego ale chędogiego. Uprásá pàn uociec, pani matka, pán młody s panio młodom na to wesele co sie ściele przez trzy niedziele. Prosemy téz waszeci na krotkie posiedzenie, na wdzięcne pomówienie, na te uoziminę co sie sieje na zimę, na to masło, co sie krowy bez lato dobrze na nie pasło, na ten rosół, co sie kucharce po kuchni rossuł, na tego ciołka, co wisi u kołka, na tego kura, co trzescaa pod niem gora, (strych), na te gęsi co uciekły kęsi (kęd-si, dokądś) na te páwie, co chodzą po stáwie, na te kacki, co mają dzioby jak placki, na te jagły, co ich panny rade jadły, na tego kwika, co urywá tráwnika, na te postronki, co sie targay jak my jechay

---

*) Z wolą i wiedzą Karola Matyása, ucznia gimnazyum Nowosądeckiego, który w moje ręce dość obfity materjał etnograficzny złożył, podaję poniżej przebieg wesela, jak się ono odbywa w Zawadzie, małej wiosce położonej pod Nowym Sączem w stronie południowo-wschodniéj (za dworcem kolejowym).

[1]) Piszę wszędzie ł, aby uniknąć nieporozumień; zwracam atoli uwagę, że ono brzmi wargowo, równie jak we wszystkich gwarach mazurskich, zbliżając się dźwiękiem do **u**.

z uOlsánki, na te krupy, co ich tukły kruki, na tego chrąsca (chrząściel, derkacz), co wychodzi z gąsca, prosi, nosi, má po sobie smugi, to wypłácá długi, na te leliją, co ją druzecki przez całą noc wiją. Uprása pán uociec, pani matka, pán młody s pani młodom na jeden pucharek wódki i na drugi, na jednę becke piwa i na drugom. Uprása pan uociec, pani matka, pán młody s panio młodom náprzod uo pana starostę, uo panio starościną, uo panio druzeckę pani młody na usługułeckę cyli na kolaseckę, no tego druzbika zeby jechát do kościoła na koniku.»

«Przeprásámy, bo my sie nie ucyli we skole, ino u pana uojca w stodole, kiepskiego my mieli prewesora, załowát (żałował) na nás básiora, nie chodzilimy do skołe, bo nám ksiązki zjadły mole, w lecie nam schodziuło na chłodzie, a w zimie na lodzie a więcy wàm nie powiemy, jaz sie lepi naucemy.»

Powyższą «prosackę» poprzedzić powinna jeszcze inna ceremonja. Oto po zwykłem skłonieniu się w domu, do którego przybyli, mają drużbowie wziąć pierzynę lub byle co z pościeli i na niej posadzić tego, którego proszą. Jeżeli kilka osób proszą, mają je usadzić rzędem. Skończywszy przemowę śpiéwają:

«Nie kázała nám pani matka bawić,
«Na konika siadać, siodełka poprawić.»

Niekiedy częstują ich wódką. Odchodząc mówią: «Panu Bogu wás zuostawiemy i z wami sie rozstajemy —bądźcie zdrowi.» — «Panie Boze powádź» — odpowiadają domownicy.

Po wyjściu wszystkich trzech zapowiedzi umawiają skrzypka i dają mu zadatek, aby grał na «uobigráwce» i na weselu. Wesele bywa zwykle w poniedziałek lub we środę po tej niedzieli, w której ostatnią zapowiedź ogłoszono. Wieczór przedtem jest «uobigráwka.» Idzie dwóch dróżbików z muzyką i śpiéwają i grają pod oknem tym sąsiadom i krewnym, których proszą na wesele [1]). Śpiewają zwykle:

«Słonecko zasło, miesiącek schodzi
«Panu starościeńkowi pani starościny itp.) na dobránoc zagrać sie godzi.»

Zapraszają ich nieraz do izby, częstują, gdzie miejsce i pohulają i spieszą dalej, aby nie zastał ich dzień jeszcze na «uobigráwce.»

Rano schodzą się drużbowie do domu panny młodéj, starszy zostaje ze skrzypkami, a inni rozchodzą się za gośćmi weselnymi. Każdemu z przychodzących grają znowu i śpiéwają:

«Miesiącek zased, słonecko schodzi,
«Jako pani starościnie (lub p. starościeńkowi na dobry dzień zagrać nie godzi.»

Przy śniadaniu odbywają się «rękowiny.» Pan młody siedzi z jednéj strony a panna młoda z drugiéj naprzeciwko; koło niéj starsza drużka i starsza starościna, koło niego starszy starosta i reszta weselnych. Starszy starosta bierze chléb i «kukiełkę» i chusteczkę białą, na niej ręce państwa młodych położywszy wiąże, przyczem starszy drużba wzywa do spokoju słowy: «Proszę o uśmierzenie, cicho mało, aby sie komu w łeb nie dostało, abo mnie samemu. Pytám się po piérsy ráz, cy przystajecie, cy nie przystajecie na te leliją, co ją druzecki przez całą noc wiją?» Kiedy po trzykrotném pytaniu, trzykroć usłyszy odpowiedź: «Przystajemy» — wtedy starszy starosta państwo młodych rękuje tj. przeżegna i pyta pana młodego: «Scego se ty młodzieńce, tę co przed sobom widzis, pojmujes, cy z majątku, cy z ładności, cy z boski wole?» On odpowiada: «Z boski wole.» Pyta się panny młodej: «Scego se ty go pobierás, cy z urody, cy z bogastwa, cy z wole bozy?» Odpowiada «z wole bozy.» Wtedy im starosta przedstawia: «Jakbyście mieli źle żyć w málzeństwie, to lepi uważcie se przed całom rzesom weselá to sie mogemy wszyscy roześć i podziękować panu ojcu i pani matce, zakiel jesce ksiądz nie związe wám rąk.» Pyta się pana młodego: «Cy más dobrą a nieprzymusoną wole te (np. Maryjannę) pojąć za małzonkę.» On odpowiada: «kcę.» Podobne pytanie zadaje i pannie młodej, a po twierdzącej odpowiedzi żegna ich najpierw starosta a potem rodzice błogosławią. Sstarszy starosta spiewa:

«Darmo moja darmo
«Zaprzągną cie w jarzmo;
«Juz cie nie wyprzęze,
«Jaze w grobie lęze.»

«Pán młody za panio młodom a skrzypek za kukiełkę!» — krzyknie następnie, a wtedy skrzypek porwawszy kukiełkę zagra na wiwat. Starszy starosta wybiera składkę dla pana młodego, starsza starościna dla panny młodéj, poczem jadą do kościoła, do ślubu. Jeżeli wesele bogate to drużbowie jadą na koniach pięknie ubranych, bukiety mają za kapeluszami, harap na konia i siékiérki w rękach. Na piérwszym wozie siedzi panna młoda i starsza drużka i starszy drużba; na drugim pan młody, starszy starosta i drużbów ze dwoch, drużki dwie i starościny dwie, potem inni goście a na ostatnim wozie skrzypki. Bodaj gdzie na gościńcu robią im «ślabanty» i muszą się okupować, kołaczem lub sérem.

Po ślubie rzecz odbywa się w karczmie, gdzie piją i tańczą. Pierwszy starosta tańczy z panią młodą, potem wszyscy inni starostowie, potem drużbowie od najstarszego, a każdy zaczynając taniec musi kazać dać pół garnca piwa i pół kwarty wodki, a wszyscy piją. Po drużbach tańczy ojciec pani młodéj z nią, a naostatek matka, która panu młodemu córkę oddaje.

Koło jedenastej godziny wychodzą do domu pani młodéj na obiad, podczas którego starszy starosta nie jé i skrzypki rownież; oni przygrywają, a on wybiera do kwarty albo na talerz pieniądze dla nich śpiéwając przed starostami:

«Starosta sie nie zubozy
«Cwancygiera w basy włozy;
«Bas sta sie nie zbogaci
«Ba má żone, troje dzieci.»

Przed drużbą lub drużką śpiéwa:

«Słonecko zasło, miesiącek schodzi
«Panu druzbikowi (druzecce) na dobránoc zagrać się godzi.»

Tańczą potem do nocy. Jeżeli wesele ma trwać dwa dni, te nazajutrz drużbowie znowu spraszają gości. Każdy przynosi ze sobą co może do jedzenia i do picia. O godzinie 3 po południu jest śniadanie, podczas którego tańczą i bawią się. Po śniadaniu odbywają się «cepiny.»

Z panią młodą tańcuje najstarszy starosta a starszy drużba przebierze się za kupca (i starszy starosta) poczernieni węglem z szablami drewnianymi i brzydkimi czapkami na głowach, pookręcani powrósłami przychodzą ze starszym drużbą na czele, który ma czerepy z garnków w worku i potrząsając nimi mowi, że ma piéniądze. Kupuje więc od starszego starosty panią młodą, przekręcając słowa, niby z cygańska z właściwie źle po rusku. «Przedej mi to bydlątko» — mówi do tańcującego z panią młodą starosty. «Sprzedám, a wiele date?» — «Dwa cet.»— Starosta chce «trzy cet,» wreszcie się godzą. Drużba tańcuje z panią młodą, ale ona kuleje, więc ją oddaje staroście, z którym dobrze tańczy.

Skoro i z drużbą pani młoda dobrze zatańczy, kupuje ją i wysypawszy z worka skorupki na ziemię, rachuje. Panią młodą tymczasem biorą starościny do osobnéj izby, rozpletą jej warkocze, utną nożycami i zaczepią w chustkę. Czyniąc to śpiewają [2]), naleje wina do skopca, «zeby pani młodá była mlécná,» i częstują się sérem krajanym, wątrobą, gęsiną itp. Najczęściéj śpiéwają:

«Jak ci bedą panią młodą cepić,
«Bedą miay starościny co jeść co pić.
«Jak ci bedzie pani młodá w cepcu
«Przyniesą nám gorzáłecki w skopcu.»

Zaczepionéj pani młodéj składają na «podołek» piéniądze, ile kto może. Starszy drużba rąbie piec siekiérą, aż ognia daje. Dopiero gdy mu przyniosą kwartę wódki i cały «kołác,» zaprzestaje rąbać i podziękowawszy rozdaje co dostał między przypatrujących się, niezaproszonych gości.

Po obiedzie, który wieczor podają, wesele się zakończa tańcami do dosyć późnéj nocy. Śpiéwają okolicznościowe krakowiaki.

Roman Zawiliński.

---

[1]) W Brzezinach zowią to: „grać na dobronoc.“

[2]) Szkoda, że nie podano piszącemu t ch pio k.

Z ŻYCIA ARTYSTY.

Przez **Elizę Polko.**

W przededniu «ulubionej uroczystości« Zielonych Świątek wpadła mi w ręce pożółkła książka z r. 1787 Dr. Burneya: «wiadomości o życiu Jerzego Fryderyka Händla» i notatki o pamiątkowym obchodzie ku czci mistrza w dniach 26, 27 i 28 maja 1784 r. wyprawionym w Londynie.

Przez otwarte okno wiała woń bzu na porozdzierane kartki, które przewracałam powoli, tam w zaroślach na wyścigi śpiewały słowiki, niebo rozpościerało błękitną zasłonę nad świeżą zielonością, a ostatnie promienie słońca migotały po upojonej wiosennem życiem ziemi i może w tej samej chwili złociły w Westminsterze napis nad popiołami niezapomnianego, okalały aureolą Jerzego Fryderyka Händla.

W czasie czytania zdawało mi się, że śnię. Z spokojnych, poważnych doniesień występowało coś jak Fata morgana w tęczowych barwach i odcieniach. Niewidzialna muzyka szeleściła z nich, by płaszcz królewski coraz głośniej, wspanialej, silniej, aż w końcu dźwięki jej zamieniły się w szum wzburzonego morza. Lecz nad niem akordami i chórem donośnym, jak duch potężny nad morską falą płynął słodki cudownie brzmiący śpiew Gertrudy Mara.

I dwa obrazy szczególnie starałam się zatrzymać w pamięci: mały nieznaczny fakt z młodości Händla i opisanie uroczystości wspaniałej, poświęconej czci zmarłego muzyka-artysty.

Piszą, iż lato w r. 1703 promieniło niezwykłą w północnych Niemczech pogodą — miesiąc sierpień zupełnie był pozbawiony cech swoich; upływał wśród połysków słonecznych wpleciony w tumany kurzu, które z całym przepychem i okazałością wznosiły się w powietrzu wlokąc zielony różowo obramowany ogon za sobą.

W dolinie rozgiągającej się między Hamburgiem a Lubeką, podobnej do zmazanego studjum akwareli jakiegoś dyletanta, przesuwało się coś zwolna po rozpalonym bezdrzewnym prawie gościńcu, słońce schowało się na chwilę za chmury, snać było mu za gorąco, pojedyńczo rozrzucone drzewa stały w sennej zadumie jakby marzyły o kroplach orzeźwiającego deszczu, ptaki skryły się, chrząszcze wszystkie przywdziały jednakową prochową liberję, a duży szary przedmiot poruszający się ślimakowato, był tak zwaną karetą pocztową, ciągnioną dwoma siwemi końmi, któremi również siwy zaspany woźnica kierował. Niegdyś płomienny wóz wyglądał jakby przybywał z czarodziejskiej krainy moli, gdzie jak wiadomo panuje kolor szary; w otwartych oknach igrały chmury prochu goniąc się, by swawolne chłopcy grający w łapankę tu i tam.

Wewnątrz owego wehikułu siedziało czterech mężczyzn; trzech z nich pozbywszy się niektórych części swej garderoby starało się rozsiąść jak najwygodniej, by tym sposobem złagodzić nieco przykre uczucie wywołane nieznośnym upałem, który woń rozpalonych poduszek i skór potęgowała. Jeden tylko z pasażerów po prawej stronie na przodzie siedzący zupełnie był ubranym, nie rozluźnił nawet węzła białej chustki na szyi, ale jednak zdjął perukę z długiemi lokami i umocował ją do fordekla. Był to dwudziesto dwuletni mężczyzna z twarzą więcej roztropną niż pociągającą, z białemi upierścieniowanemi rękami, które od czasu do czasu z godną podziwu cierpliwością i werwą strzepywały pyłek z papuziego surduta. Nazywał się Jan Mattheson, a był śpiewakiem opery, kompozytorem i fortepianistą z Hamburga, a od niedawna nawet dobrze płatnym sekretarzem angielskiego rezydenta Jana von Wich.

Naprzeciw niego zajął miejsce pasztetnik z Lubeki z dużym koszem nakrytym starannie białą chustą.

Obok siedział młodziutki chłopiec, protegowany śpiewaka, który dopiero przed paru tygodniami przybył z Halli do Hamburga w nadziei, iż grą na organach i nauką muzyki w wielkiem mieście uzbiera sobie powoli sumę wystarczającą na odbycie podróży do Włoch, o której marzył jak pragnący o ożywczym napoju. Nazwisko jego było: Jerzy Fryderyk Händel. Siedział wprawdzie w największym negliżu obok wspaniałego opiekuna, lecz nie można wyobrazić sobie nic piękniejszego nad tę smukłą silną postać młodzieńczą i to kwitnące oblicze z dużemi prześlicznemi oczyma które w inny świat zdawały się spoglądać i z dumnemi ustami uśmiechniętemi teraz właśnie po dziecinnemu. Vis-a-vis miał grubego handlarza gołębi z olbrzymią klatką pełną świegocących i skaczących stworzonek, któremi bawił się młody Händel, a nawet z tkliwem współczuciem nakrył ich surdutem swoim, aby gorąco i kurz nazbyt im nie dokuczały. Podczas tego oczywiście rozmawiał z sąsiadem o podwójnych fugach, dziełach na organy, o kontrapunkcie, modulacji i aryach opery, o chórach i koncertach, tak, iż handlarz gołębi i pasztetnik spoglądali na siebie trwożliwie przerażeni uczonością. Później artyści wyjęli papier i pisali o zakład podwójne fugi na «da mente» jak Mattheson twierdził «non da penna.»

Obydwaj dążyli do Lubeki, aby przedstawić się tam jako kandydaci na wakujące miejsce organisty przy kościele Panny Maryi. Sławny katedralny muzyk, uczony Buxtehude miał ich ostro egzaminować. Posada była bardzo korzystną lecz szczególny warunek do niej dołączono. Oto wybrany organista musiał się zobowiązać do zaślubienia pozostałej siostry zmarłego. O tej klauzuli oczywiście młody Händel nie wiedział nic zgoła, opiekun zataił ją przed nim umyślnie. «Zobaczmy pierwej dziewczęcę» myślał Mattheson «jeżeli ładna obejmę miejsce; gdy brzydka — — wówczas pomogę małemu do ustalenia się, a szczęście jej będzie zupełne.»

Nie zależało mu wcale na zatrzymaniu młodego Händla w Hamburgu, nieraz w skrytości zaczynał się obawiać jego współzawodnictwa. Głos młodzieńca w małych partjach operowych brzmiał pełniej niż Matthesona; a gdy Jerzy Händel grał na organach, wszystkie miejsca w kościele były zajęte, tłoczono się do świątyni, by na odpust. Jako nauczyciela muzyki rozrywano go formalnie, panny i panie chciały się uczyć tylko od pięknego przybysza. Ze śpiewaczkami trudno było przyjść do ładu, gdy raz na próbie Händel zasadzony przez Matthesona akompanjował na fortepianie, kokietowały go bez końca, jakkolwiek on zdawał się nic nie słyszeć i nic nie spostrzegać. Nawet piękna córka rezydenta angielskiego raptem ku wielkiemu przerażeniu ojca zapragnęła uczyć się na skrzypcach, lecz nauczycielem musi być młody Handel — dodała. Słowem miasto Hamburg dla obydwóch razem było za szczupłe!

I tu w pocztowej karecie Mattheson musiał się przekonać, że «mały» serca szturmem zdobywa. Pasztetnik, który podczas jazdy z dumą dał się poznać jako zastępca i pomocnik kalikującego na organach jedynie z miłości do muzyki, traktował go ciągle ciastkami i nadmienił wyraźnie, iż jest gotów poświęcić mu usługi swoje w kościele Najświętszej Maryi Panny. Przy zawarciu owego związku przyjaźni Mattheson zachował się neutralnie; z powodu kilku silnych wstrząśnień pocztowej karety peruka jego spadła z fordekla w sam środek pulchnych pasztecików, zmuszony więc był mimo gorąca ze złością włożyć ją na głowę. Chętnie byłby się zapytał o siostrę organisty, lecz po-

wstrzymywała go obawa, iż wówczas ów ukrywany warunek na jaw wyjść może.

Później zdarzyło się nawet, że Händel zmorzony snem uderzył silnie głową o klatkę i wyrwał kilka szczebli, w skutek czego trzem gołębiom umknąć się udało. Ale nie powiedziano mu ani słówka. Grubas westchnął tylko, patrząc na wyzwoleńców pomruknął: «Na was nie można się gniewać, nie wiem czemu, każdy inny drogo musiałby mi za to zapłacić!»

Wreszcie po kilku godzinach uciążliwej jazdy przybyli do starego grodu nad Trawą.

Ogniste promienie zachodzącego słońca przeciskały się przez pstre okienka i napełniały stary kościół Panny Maryi w Lubece cudownem światłem. Odbicie tegoż drżało na cichych pomnikach i skakało po wyobrażonych na nich w tańcu umarłych postaciach. Organy na których Mattheson wykonywał swe sztuczne fugi leżały już w pomroku. Lecz drugie przeznaczone dla młodego Händla były oblane różowym blaskiem, a głowa siedzącego przed niemi młodzieńca z odgarniętemi z skroni kasztanowatemi włosami, wydawała się jakby otoczona złocistą aureolą. Obok niego z uśmiechem pełnym zaufania i wrzekomo z gotowemi do walki rękami stał lubiący muzykę pasztetnik szeptając: «pobijemy tamtego, pobijemy z kretesem.»

A na dole w świątyni, by zbite razem tumany prochu usiedli uczeni panowie, pastorowie i śpiewacy z sławnym Buxtehude na czele sądzić zdolność artystów. Podczas gry Matthesona kiwali głowami z upodobaniem, lecz poważnie, tak, że zaledwie atom pyłku ulotnił się z ich olbrzymich pudrowanych peruk. Artysta widocznie znalazł łaskę u nich.

W bocznym kierunku tej grupy, w ławce pod chórem siedziały dwie kobiety w żałobie nieopodal Matteesona. Jedna z nich wysoka, sztywna z energiczną postawą, wychylała się czasami naprzód, a światło z okna leżącego naprzeciw prosto padało jej w twarz, przypominającą kolorytem i rysami twarde nieruchome oblicza świętych ze starych rzeźb. Czepek żałobny z ostrym zębem nad czołem, wysoka kryza podpierająca podbródek śpiczasty, dodawały jej głowie więcej jeszcze surowości i powagi. Obok niej trochę w tył zasunięta prześliczna twarz dziewczęca wyglądała w świetle jak główka aniołka wymalowana na tle złocistem. Była to kwitnąca twarzyczka staro-niemiecka obramowana zwojami jasnych włosów. Niebieskie oczy, delikatne usta i najpiękniejsza figura uzupełniały całość.

(Dokończenie nastąpi).

Zapiski T. Lipińskiego

Ciąg dalszy.

Szczególniejszy traf zrządził, że w chwili kiedy Niemcewicz wyrzekł: «przyszedł dzień, gdzie to słońce, w które Kopernik przez pół wieku wlepione miał oczy, dziś na wizerunek jego łaskawe rzuci promienie» i gdy okrywające posąg spuszczono opony, rozeszły się jak gdyby posłuszne rozkazowi chmury zaciemniające od dnia wczorajszego widnokrąg i pogodne zaświeciło słońce. Ważna okoliczność, (o której wolę przemilczeć, zwłaszcza iż o wezwaniu Niemcewicza do Belwederu niezupełnie są zgodne powieści) stała się powodem, iż prezes Tow. przemówił nie z pisma, lecz z pamięci i krótko. Na uczcie znajdowali się z zaproszonych gości: gener. ros. Kuruta i Rychter, baron Mohrenheim, konsulowie franc., austr. i pruski i kilka osób. Spełniono toasty za zdrowie cesarza, rodziny i pomyślności kraju. Poczem powstał Nowosilcow i spełnił za zdrowie najszanowniejszego prezesa! Bytność jego na tym obchodzie, należenie do składkowej uczty, nie może się nam w głowach pomieścić. Ponieważ z najwyższej woli wzbroniony został teatr, gdzie w przeźroczu miało być umieszczone popiersie Kopernika i panna Żuczkowska miała deklamować znaną do astronoma odę Osińskiego, przeto w czasie uczty odczytał ją sam autor.

Ktoby temu w Europie uwierzył, co się u nas stało w dniu inauguracji posągu Kopernika? Opowiem najwierniej i jak się rzecz miała. Ks. Szwejkowski, rektor uniw. mający mieć mszę, dał znać, że jest słaby, wezwano przeto członka Towarz. Przyj. Nauk Czarneckiego, administratora archidyecezji. Ten widząc, iż w gronie Towarzystwa znajduje się ksiądz ewangelicki Diehl, przybrany w suknie duchowne i z biretem na głowie, taką żarliwością został przejęty, iż postanowił pierwej mszę odbyć. Jakoż właśnie ją kończył, gdy członkowie wchodzili do kościoła. Ci zająwszy miejsca, napróżno oczekują na nabożeństwo; wreszcie posyłają dowiedzieć się o przyczynę zwłoki. Odpowiedział prałat, iż nie mając czasu do stracenia, już mszę odprawił. Udano się do miejscowych księży, lecz ci oświadczyli, że już wszyscy msze poodbywali. Takim sposobem wezwawszy członkowie Tow. Przyj. Nauk pomocy Boskiej, w cichości ducha wyszli ze świątyni. Taki postępek duchownego wyższego rzędu, a zwłaszcza należącego do grona uczonych, słusznie wszystkich na niego oburzył.

Dnia 13 wrócił z Petersburga minister skarbu Lubecki, po przeszło pięciomiesięcznej nieobecności.

Po odsłonieniu nowego w stolicy pomnika, wypadało rozdać bezpłatnie krótką popularnie ułożoną wiadomość o życiu i systemie Kopernika. Pomnik jego wystawiony jest na widok publiczny, lud zatem winien wiedzieć, kto on był i jakie jego są zasługi. To objaśnienie pomnika jest tem konieczniejsze, iż Kopernik należy do rzędu wielkich mężów, których sława nie przechodzi jak imię bohaterów do cichego ustronia masy ludu. Domysły i wnioski nad pomnikiem najlepiej przekonywają o zupełnej w tej mierze nieświadomości ludu. Jedni utrzymują, że to jest jakiś zasłużony *kumornik*, inni, że to kanonik pobożny; niektórzy biorą go za świętego, za patrona Warszawy, ale najwięcej jest takich, którzy przypatrzywszy się pomnikowi, odchodzą mówiąc: Bóg wie co to za jeden.

Dnia 20 o godz. wpół do 11 zjechał cesarz wraz z W. Ks. Michałem, udając się pobocznemi ulicami i przez tylny wjazd do pałacu Brylowskiego. Gdy dano znać W. Ks. o przybyciu cesarza opuścił paradę i pośpieszył do pałacu. Dopiero dnia jutrzejszego pod wieczór spodziewany był monarcha; niespodziane to przybycie piorunem rozeszło się po mieście, mnóstwo ludzi zgromadzało się koło zamku i po ulicach którędy miał przejeżdżać. Wieczorem oświecono domy.

Dnia 21 rozkazał cesarz wypłacić każdemu żołnierzowi należącemu do zmiany straży, na której był obecny, po złp. 7 gr. 5, porachowano bowiem w pieniądzach porcję wódki i mięso.

Dnia 22 wyjechał Naj. Pan naprzeciwko cesarzowej, która jest jutro spodziewana.

Dnia tego po godzinie 10 w nocy zjechała cesarzowa.

Dnia 23 znajdowała się cesarzowa w oknach pałacu saskiego przypatrując się paradzie. Orszak jej co do dam dworskich składa się z tych samych co i r. z.

Dnia 24 jako w rocznicę koronacji było nabożeństwo w katedrze, poczem wielkie pokoje w zamku. Cesarzowa powracając z kaplicy rozmawiała z niektóremi damami.

Wieść runęła, iż niezawodnie mianowany będzie marszałkiem sejmu Józef Lubowidzki, vice-prezes banku. Coś to nie bardzo do smaku panom posłom.

Wieczorem nibyto było oświecenie miasta, wiele bowiem domów na głównych nawet ulicach nie pozapalało łojówek. Mimo to wielkie mnóstwo przechadzało się po mieście do późnej nocy. Uważano, iż żadne z pomieszkań zajmowanych przez Rosyan nie było oświecone.

Dnia tegoż przybył po raz pierwszy do Warszawy następca tronu prus. a z nim ks. Antoni Radziwiłł, namiestnik W. Ks. Poznańskiego i uczony podróżnik radca tajny baron Aleksander Humboldt.

Dnia 25 na paradzie był obecny królewicz pruski. Cesarz i W. Ks. Konstanty przybrani byli w mundur pruski ze wstęgą orła czarnego. Znajduje się tu hr. Sztakelberg poseł Naj. Pana przy dworze Neapolitańskim.

Dnia tegoż deputacja złożona z kilku prof. Uniw. udała do zamku dla powitania Humboldta.

Pod datą dnia wczorajszego mianował cesarz hr. Maksymiliana Fredrę marszałka dworu, kuratorem uniw. i pomocnikiem ministra kom. ośw. Jest to wcale nowa posada, gdyż ś. p. Dawid Oebselewitz był kuratorem instytutów naukowych; co się tyczy pomocnika, tembardziej urząd ten u nas jest nieznany. Publiczność naigrawa się z ministra mowiąc, iż jest pod kuratelą. Oby tylko Fredro chciał być czynnym i więcej się zajmować niż dotąd czynił Józef Kalasanty Szaniawski, dyrektor wychowania publ., który niemiłem spogląda okiem na pomocnika.

Posłowie są nader nieukontentowani z wyboru marszałka, a zagorzalsi naradzają się jakimby sposobem usunąć jego nominacją. Jakoż wykryli, iż miał dwie sprawy kryminalne; układają przeto przełożenie w tym celu i zbierają podpisy; ale to wszystko już za pozno, gdyż należało było to uczynić wprzódy i oskarżyć go jako posła. Co najwięcej ich oburza, to, że jest sługą rządowym i bratem vice-prezydenta policji. Ubolewają czemu ktorego z grona obywateli, ziemianina nie obrano choć raz za teraźniejszych sejmów. Zresztę jest to uczony człowiek, z dobrą głową; dał się poprzednio poznać jako sędzia najw. instancji. Minister skarbu najwięcej płynął na jego wybór: jego jest staraniem, aby miał w marszałku podwładnego i takiego, któryby potrafił go bronić, jeźli co wyniknie w przedmiocie skarbu itp.

Dnia 26 cesarz, królewicz pruki i cesarzowa z dworem swoim znajdowali się na wystąpieniu całej załogi na polu Marsowem.

Minister sprawiedliwości Ignacy Sobolewski, niebezpiecznie jest chory, zasłabł też i minister spraw wewn. Mostowski uprosił on na zastępcę swego w czynnościach sejmowych ministra skarbu Lubeckiego.

Świetne i nader liczne było zgromadzenie na wieczorze u ks. Adama Czartoryskiego.

Dnia 27 Humboldt zwiedził bibliotekę, gabinety uniw. i pracownie. Profesorowie i deputacja Towarz. Przyj. Nauk. mając na czele Niemcewicza powitała przybywającego i towarzyszyła mu ciągle przez godzin kilka.

Posłowie i deputowani zgromadzili się w pałacu Brylowskim. Przyjął ich uprzejmie W. Ks., mowiąc, iż cieszy się, że znowu znajdować się będzie w ich gronie i należeć do narad o dobro kraju, że spodziewa się dobrych skutków, byleby tylko z umiarkowaniem działali. Poczem oświadczył żądanie poznania nowo obranych i ci mu się imiennie polecali.

Przybyli: poseł cesarza brazylijskiego margrabia de Rezeude i książe Filip Hesko—homburski feldmarszałek, porucznik wojsk austrjackich.

Sławna śpiewaczka berlińska panna Sontag dzisiaj jest oczekiwana. Wyłowi ona niemało grosza. Na balu u prezesa rady admin. znajdowali się cesarstwo, królewic pruski itd. Cesarzowa była gustownie i bardzo bogato ubrana. Dużo tańcowała; pierwszego zaś mazura z ks. Leonem Sapiehą; cesarz miał mundur ułański ros.

Wielu sarkają na Zamojskiego prezesa senatu, szczególniej posłowie są obruszeni z przyczyny, iż nastawał o unieważnienie wyboru Gustawa Małachowskiego, posła szydłowieckiego i Stan. Kaczkowskiego, posła sieradzkiego. Nie dopiął jednak swego i senat utrzymał ich; odpadł tylko Zwierkowski deputowany z 7 cyrk. warsz. były na przeszłym sejmie poseł z krakowskiego.

Dnia tego było liczne zebranie posłów u Gustawa Małachowskiego, za jego wpływem i innych umiarkowanych, szczęściem zdołano nakłonić zagorzalców i wykazać im niedorzeczność ich przedsięwzięcia, cofnęli przeto swój zamiar podania przełożenia względem usunięcia art, dodatkowego do konstytucji, tyczącego się odbywania narad przy zamkniętych drzwiach. Już zbierali oni podpisy i ukartowali byli nie zacząć żadnych czynności, póki art. ten cofnięty nie zostanie.

Dzień 28. Dziś tedy zaczyna się sejm. Ciekawi niezmiernie jesteśmy co cesarz przemówi.

Deputowany z cyrkułu 1 go Warszawy mianowany marszałkiem sejmu Józef Lubowidzki, dawał obiad w salach ratusza, na którym znajdowali się senatorowie, posłowie, urzędnicy dworu, wielu polskich i rossyjskich wojskowych, a nawet i różne osoby z miasta. Nie szczędzono wina i to w dobrych gatunkach. Zgoda i jedność panowała zupełna; nie można się jak tylko z tego cieszyć i zdaje się, że wszystko pójdzie dobrze.

Oto są większe i dokładne szczegóły rozmowy W. Ks. z posłami: będziemy radzić o dobru ojczyzny, mówię ojczyzny, gdyż mieszkając między wami od lat 15, nabyłem do niej prawa. Dalej zaś: il est vrai que je suis quelquefois fou de tete, mais mon coeur est toujours bon. Zapytany Stanisław Jezierski, poseł siennicki, jak też będzie postępował: comment agirez vous? — odpowiedział: en bon Polonois. Na powtórne wezwanie, aby się wytłomaczył z tego, rzekł: toujours en bon Polonais Monseigneur.

Dzień 29. Powszechne zadowolenie z mowy cesarskiej. Cieszymy się, iż łaskawy monarcha nie przestaje się zajmować dobrem Królestwa i że mały ten kraik i jego administracja ma swoje znaczenie i zwraca na się baczne oko cesarza. Wróćmy się do dnia wczorajszego. Książe wda Czartoryski i kasztelan Kochanowski wyznaczeni byli w deputacji dla wezwania izby poselskiej do połączenia się. Pierwszy z nich pięknie przemówił z pamięci. Za połączeniem się izb wybrano deputacją do zaproszenia cesarza, z senatu W. Ks. Michał po raz pierwszy zasiadający, biskup Prazmowski i kasztelan Męciński. W. Ks. Konstanty zależał do deputacji z izby poselskiej. Wszedł cesarz prowadząc cesarzową pod rękę i stojący przy tronie miał mowę.

Cesarzowa zaś z księżną Łowicką i królewiczem pruskiem stali opodal tronu.

Marszałek wezwał na sekretarza izby Kalixta Morozewicza, posła lubelskiego. Nie mógł zrobić trafniejszego wyboru; młody ten człowiek, znany z swoich zdolności jest światły i dobrze piórem włada.

Bal u prezesa senatu. Cesarzowa jak zawsze, tak i tą razą wesoła, uprzejma, dużo tańcująca. Pierwszego mazura tańczyła z Władysławem Zamojskim, adjutanem W. Ks., kontredansa zaś z ks. Leonem Sapiehą. Żaden z posłów nie był obecnym, a to z powodu, iż sesja przeciągnęła się do póżnej nocy. Marszałek chciał odroczyć posiedzenie, lecz postawili posłowie na swojem, aby załatwić wybór członków do komisyj, tem bardziej, że dwa święta następują. Na rękę im to było, gdyż radzi byli, że nie udadzą się na bal do Zamojskiego, na którego są urażeni.

Dnia 30 senatorowie i izba poselska zaproszeni byli na obiad do zamku. Cesarz spełnił toast za pomyślność narodu. Marszałek pos. przedstawiał po nazwisku każdego i wymieniał zkąd jest obrany.

Cesarstwo, W. księstwo, królewicz pruski i cały dwór znajdowali się w teatrze na koncercie panny Sontag. Natłok był wielki, obsypywano ją oklaskami i wywołano.

Dzień 31. Dzień nawiedzenia Bielan. Wieść, że cesarstwo odbędą tę przejażdżkę sprowadziła tysiące osób na ulice przyległe Nowego Miasta. Okna napełnione były damami, przy ogrodach i parkanach porobione były siedzenia dla widzów, a po trotoarach tyle ludzi, iż z trudnością przecisnąć się można było. Zaraz po godz. 4 już toczyły się pojazdy, a to w tak wielkiej liczbie, iż ujechawszy nieco po kilkanaście minut zatrzymywać się musiały. Wieln bardzo sprzykrzywszy sobie taką jazdę, zawracali, wielu zaś nim dojechali do rogatek najmniej trzy godziny potrzebowali czasu. Cesarzowa z księżną Łowicką i królewiczem pruskim jechali w odkrytym powozie, na kształt koszyka zawieszonym, stangreci przybrani z angielska i dwaj dżokieje konno z tyłu. Cesarz z W. Ks. Konstantym stanąwszy w koszarach Aleksandra, dosiedli koni i z cesarzową pod Bielanami zjechali się. Gdy przejeżdżali przez lasek i zatrzymali się nieco, tysiące zgromadzonego ludu okrzykami ich powitało. Za powrotem do zamku zabawiali się słuchaniem przybyłych do Warszawy artystów i tak śpiewała panna Sontag, grała na pantalonie p. Belville i młody Woerlitzer. Wszyscy hojnie udarowani zostali, jakoteż i nasz Kurpiński, towarzyszący na skrzypcach.

Czerwiec. Dzień 1. Zaledwo ks. Lubecki wniósł w izbie poselskiej projekt wzniesienia ś. p. cesarzowi pomnika, odezwały się jednomyślne odgłosy zgody, przy trzykrotnem: niech żyje król! poseł zaś włodawski Jasiński dodał: i konstytucja, a nadto, gdy układano adres domagał się, aby zamieszczone było, iż izba jednomyślnością przy odgłosie: wiwat król i konstytucja, przyjęła projekt, na co gdy nastąpiło zezwolenie ogółu, wyprawiono z adresem deputacją do cecarza, który ją z ojcowskiem sercem i wyraźnem zadowoleniem przyjął.

Bal w zamku dla reprezentantów narodu, przyczem wezwano biletami znaczniejszych urzędników i wojskowych.

Przybył baron Frejsztet, generał W. Ks. badeńskiego donosząc o zgonie swego pana. Cesarz ozdobił go orderem sw. Stanisława 1szej klasy.

Dnia 2 popołudniu cesarzowa z bratem wyjechała do Fiszbach w Szląsku, gdzie cała rodzina pruska ma się zjechać.

Dnia 3 o godzinie 2 zrana cesarz wyjechał gościncem Brzesko-Litewskim na Wołyń, ma zwiedzić i dalsze gubernie i wrócić jakoteż i cesarzowa na 19 bm.

Towarzystwo Przyj. Nauk chcąc uczcić uczonego Humboldta, jako swego członka, zebrało się licznie o godzinie 12 i w obecności jego odbyło nadzwyczajne posiedzenie. Zagaił prezes we francuskiej mowie, której treść: iż lubo Towarz. ma w swoich zasadach jedynie używać mowy ojczystej, wszelakoż odstępuje dziś od tego po raz pierwszy dla uczczenia tak znakomitego męża itd. Na co Humboldt odpowiedział, iż ubolewa, że nie jest świadomy języka polskiego i że jedynie wiek jego nie dozwala mu się nauczyć, jednak mimo to, gdyby miał tu pozostać dołożyłby wszelkiego starania i usłyszanoby go w tem uczonem gronie po polsku rozprawiającego. Składał w końcu najczulsze dzięki za wyświadczony sobie zaszczyt. Poczem radca stanu Józef Sierakowski czytał rozprawę w języku francuskim o najdawniejszych kartach jeograficznych. Następnie prof. uniw. Jarocki wyłuszczał w mowie niemieckiej postrzeżenia swe geologiczne o znacznej liczbie skamieniałości rozmaitych ciał morskich i zwierzęcych znajdujących się na Podolu i Wołyniu, a szczególniej w okolicy Krzemieńca. Ukazał kilkanaście wydobytych tamże gatunków kamieni, muszel morskich i innych osobliwości. Niektóre z nich ściągnęły uwagę uczonego podróżnika i badacza, przymówił się o nie i otrzymał. Zakończył posiedzenie mową franc. Humboldt, w której najpłynniej opisywał niektóre postrzeżenia i czynił porównania ostatniej swej podróży po Syberji z poprzedniemi w Ameryce itd. Blisko godzinę prawił z pamięci z powszechnem zajęciem obecnych. Tegoż dnia znajdował się na obiedzie składkowym danym przez członków Towarz. Przyj. Nauk i profesorów uniw. wynurzył wdzięczność w imieniu Europy za wzniesienie pomnika Kopernikowi. Z obcych znajdował się na tej uczcie tylko zaproszony konsul pruski.

Dnia 4 wyjechał Humboldt do Berlina. Przez czas swego pobytu zwiedzał różne zakłady naukowe; zadowolony był z obserwatoryum i oświadczył swoje podziwienie, aby uniwersytet w małym lat przeciągu swego istnienia posiadał już tak zamożne zbiory.

Dnia 5 pana Sontag po 5tym koncercie wyjechała, będąc wezwana do Fiszbach; za dwa tygodnie ma być z powrotem. Podług umowy z dyrekcją teatru brała za każdy koncert 500 złp., od cesarza zaś otrzymała za lożę na 1szym koncercie 300 złp., od W. Ks. Konstantego 100, od królewicza pruskiego 200. Jakem wyżej wspomniał, kosztownym fermoarem od cesarzowej udarowaną została, śpiewając w zamku; spotkał ją tegoż wieczoru wielki zaszczyt, zatrzymaną bowiem była na wieczerzę, a cesarz mówiąc z nią dawał jej tytuł *comtesse*. Wiadomo bowiem, że poszła za włoskiego hr. Rossi. Zamiarem jej jest pośpiewać jeszcze parę lat i potem używać nagromadzonych dostatków. Zaproszona była na wielki wieczór do ks. Czartoryskiego i tam zachwyciła wszystkich tańcując bardzo zgrabnie mazura. Do przyjemnych rysów twarzy łączy najlepsze ułożenie i zaletę przyzwoitego znalezienia się na wielkim świecie.

Dnia 6 na tańcującym wieczorze u Zamojskiego znajdowało się tylko pięciu posłów. Izba poselska daje mu przez to uczuć swą urazę i małe jego poważanie.

Gdy minister skarbu w zastępstwie ministra spraw wewn. wnosił w izbie poselskiej projekt do ustawy sejmowej urządzenia składki powszechnej względem wzniesienia pomnika wdzięczności narodowej dla wskrzesiciela Polski, dawcy konstytucji, zastanawiano się nad rozkładem ofiary i nad sposobem jakby pod

ciągnąć można było i kapitalistów. Była także mowa i o monopolistach, na co ozwał się Jasiński, poseł włodawski, iż podług jego zdania, bynajmniej nie należy ich przypuszczać do udziału w tak szlachetnym celu itd. W końcu dodał: niech sobie raczej wzniosą pomnik wdzięczności swemu ustawodawcy i dobroczyńcy. Mowiąc to zwrócił wzrok na Lubeckiego. Obie izby sejmowe dobry bardzo uczyniły wybór członków do komisyj sejmowych. Złożone z nich deputacje zwiedzają biora, instytucje i tym podobne zakłady rządowe, wchodzą ściśle w szczegóły i spodziewać się należy, iż wykryją niemało uchybień, nadużyć i zdrożności. Ważne nader przeto być mogą podane przez nich petycye.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Z TEATRU.

Święta Wielkanocne stały się powodem, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni jedną tylko nową sztukę dano w teatrze.

Ale za to jest to sztuka bardziej od innych publiczność krakowską interesująca, bo oryginalna polska i napisana przez miejscowego, wysoce utalentowanego autora, używającego słusznie wielkiej popularności.

Oczywiście, że mówimy tu o danej po raz pierwszy w zeszłą sobotę (31 marca), na benefis zdolnego i sumiennego artysty p. Frenkla, nowej 3 aktowej komedji p. M. Bałuckiego p. t. *„Dom otwarty.“*

Jest to komedja bardzo udatna i przyjemna, która niezawodnie nie zejdzie z reportoaru długo i długo będzie miała przywilej, wspólny wielu utworom p. B., zwabiania do teatru tłumów publiczności. Trzeba mieć talent komedjopisarski zaprawdę nieposledni, aby bez żadnych zgoła wikłań intrygi, na tle fabuły nadzwyczajnie prostej i nieskomplikowanej, bo uzasadniającej się po prostu na przedstawieniu kłopotów pewnej rodziny krakowskiej, wynikłych z wyprawienia baliku karnawałowego, potrafić stworzyć tyle scen, tryskających żywym dowcipem i humorem, narysować całą galerję postaci charakterystycznie pociesznych, a przecież (z wyjątkiem paru rysów trochę uderzających zbytnią jaskrawością) tak prawdziwych, że widz wita w nich typy znane i znajome — i z tego wszystkiego złożyć 3 aktową komedję, choć wolną od wszelkich sztucznych rusztowań, lecz zbudowaną ściśle według przepisów techniki scenicznej i wzbudzającą zajęcie od początku do końca. Wiadomo, jak doskonale p. B. zna pewne koła towarzyskie krakowskie i jak biegłem okiem umie badać ich dodatnie i ujemne strony. Że więc w swej nowej komedji, specyficznie krakowskiej, nie potrzebował ani na chwilę opuścić sfer tak dobrze sobie znanych i sięgać po typy i rysy obyczajowe do innego mniej studjowanego przez siebie świata, stworzył tedy ze swej sztuki coś bardzo sympatycznego, bo pociągającego prawdą, choć czasem, gwoli werwy i fantazji, odznaczającego się bardzo zamaszystemi rzuty humorystycznego ołówka. Ma przytem *„Dom otwarty,“* pomimo swej skromnej i prostej treści i wesołego przedewszystkiem nastroju, wyraźną myśl przewodnią, co sprawia, że utwór ten nie może być zaliczony do rzędu fars lub krotochwil, lecz jest istotną *komedją*, z poetycznym nawet w niektórych miejscach zakrojem (jak np. uroczy obrazek domowego szczęścia rodziny Żeleskich w akcie Iszym). W ogóle zaś autor, wychodząc ze starej zasady: *ridendo castigat mores*, za pomocą śmiechu wziął sobie za zadanie przeprowadzić najpierwej myśl pożyteczną, że kto jest szczęśliwy w domu, nie powinien oglądać się za innem szczęściem po za dom, jeźli nie chce skwasić sobie życia, a powtóre dowieść tej prawdy niezaprzeczonej, że pewne sfery społeczeństwa krakowskiego ani żywiołów ani umiejętności życia towarzyskiego nie mają.

„Dom otwarty“ był wykonanym na naszej scenie bardzo poprawnie i prawie bez zarzutu.

Przedewszystkiem beneficjant p. Frenkel pojął swą rolę sympatycznego i jowijalnego staruszka, półkownika Telesfora w sposób tak trafny i wykonał ją tak starannie, z tak sumiennem obmyśleniem najdrobniejszych szczegółów charakteryzacji, ubioru i gry, że zapominać co chwila kazał widzom iż patrzą nie na życie prawdziwe, lecz na kreację sztuczną. To też publiczność osypywała utalentowanego artystę rzęsistemi oklaskami ciągle, któremi też i powitała go serdecznie jako beneficjanta.

Nadzwyczaj przyjemne sprawiła wrażenie gra panny Pysznik w roli naiwnej, wdzięcznej, choć trochę rozpieszczonej i bardzo rezolutnej młodej panienki Kamilli. Panna P. w ogóle czyni w tych czasach tak wielkie postępy, gra jej jest tak prostą, naturalną, a tak wysoce artystyczną, że nie trzeba być na to prorokiem, aby przepowiedzieć, iż młoda ta i powabna artystka stać się może wkrótce znakomitą jako specjalistka do ról *ingenues*.

Wszystkie inne role w komedji (oprócz jeszcze roli p. Arwina) są podrzędnemi, lecz znalazły wykonawców bardzo dobrych, że wspomnimy tu tylko o p. Wojcickim (komiczny Otello Wicherkowski) p. Feliksiewiczu (farmaceuta i kandydat do ożenku Fujarkiewicz), p. Antoniewskim (młody mąż Zeleski) pannie Kałużyńskiej (jego sympatyczna żoneczka) itd. — bo nawet cała galerja gości na wieczorze u państwa Żeleskich odegrała swe małe rolki charakterystycznie i z werwą.

P. Arwin miał jedną z głównych rol w komedji — rolę Fikalskiego, który obrał sobie za zawód, powołanie i chlubę życia, tańczenie i aranżowanie tańców. Rola to bardzo komiczna, trochę granicząca nawet z karykaturą, bardzo trudna, bo wymagająca i wielkiej werwy w grze i wielkiego nakładu sił po prostu fizycznych, ale za to bardzo wdzięczna i doskonale przypadająca do rodzaju talentu artysty, który ją odtwarzał. Grał ją więc p. Arwin bardzo dobrze i mnóstwo w niej zyskał oklasków, czego, znając siebie i swoje siły mógł być pewnym z góry. Ale p. Arwinowi zwykłego powodzenia i zwykłych oklasków było snać zamało, użył więc na pierwszem przedstawieniu charakteryzacji *całkiem niewłaściwej*, bo ośmieszającej jednego z widzów.

Dnia 2 kwietnia wznowiono dawno już niegraną *„Emigrację chłopską“* Anczyca, w której świeżo powrócony krakowskiej scenie, artysta niepospolicie zdolny p. Podwyszyński, w roli arendarza Mendla, odegranej mistrzowsko, miał powodzenie wielkie — i w ogóle sztuka szła dobrze.

Jastrzębiec.

Ruch muzyczny.

W wielki piątek wykonało krakowskie Towarzystwo muzyczne w kościele św. Anny „Stabat Mater“ na sola, chóry i orkiestrę kompozycji Aleksego Lwoffa. To samo oratorjum wykonało Tow. muzyczne dwa dni przedtem t. j. w wielką środę dnia 21 marca w sali redutowej *jako IV. wieczór muzykalny.* Do żadnego tekstu czy to libretta do oper, oratorjum lub kantaty nie dorobiono muzyki tyle razy, jak właśnie do słów:

„Stabat Mater Dolorosa
Justa crucem lacrimosa
Dum pendebat filius...“

Naliczyliśmy bowiem 40 kompozycyj muzycznych, różnych autorów do tego tekstu. Z librettów do oper najwięcej komponowano „Demofonta“ (30 razy) „Infigenję“ (28 razy) „Semiramidę“ (21 razy) „Pygmaljona“ (21) i „Romea i Julję (16 razy).

Według najlepszych źródeł autorem tekstu do „Stabat Mater“ jest Franciszkanin Benedetto, znany także jako Jacopono, w wieku 13-tym, piszący głównie hymny. Tekst doczekał się 83 tłumaczeń i 22 przerobień. z tych najdawniejsze pochodzą z 14 wieku, najliczniejsze (67) z 19 wieku.

Najstarsze „Stabat“ jest Palestryny, tego reformatora muzyki kościelnej (ur. 1524 w Palestrynie, um. 1594 w Rzymie); najwięcej znanem i lubianem jest „Stabat Mater“ Rossiniego, które mimo swego teatralnego kolorytu i manier operowych najwięcej się szerszej publiczności podoba i dlatego też często wykonywane bywa.

Wykonane u nas „Stabat Mater“ jest kompozycji Aleksego Lwofia ur. w r. 1799 zm. w r. 1870. Dzieło to było już raz w Krakowie wykonane a mianowicie dnia 9 kwietnia 1879

Oratorjum to niema charakteru jednolitego, posiada atoli ustępy wspaniałe jak np. chór *à capella*, lub inne posiadające więcej nastrój liryczny, jak ustęp pierwszy chór mięszany z towarzyszeniem orkiestry, numer 2gi „Oh quam tristis“ solo tenorowe z towarz. chóru i ustęp czwarty: „Eja mater“ fuga nader trudna na chór mięszany.

Cenną zaletą tego oratorjum jest, iż posiada poważny, kościelny charakter; niema tu tych braków, jakie w dziełach Rossiniego lub Mercandantego rażą. Instrumentacja jest prosta ale dobra.

Co się tyczy wykonania, to całość poszła u nas dosyć dobrze; wyszczególnić atoli wypada solo tenorowe p. Pisarskiego w numerze drugim, piękny chór *a capella* i numer 6ty „Fac ut portem,“ tercet na tenor, baryton i bas odśpiewano zupełnie dobrze przez pp. Pisarskiego, Stypkowskiego i Tlachnę.

W piątek dnia 30 marca odbył się w sali hotelu Saskiego koncert młodej pianistki panny Zofji Siegenfeldównej z współudziałem pani Henryki Mikuliczowej śpiewaczki-amatorki i p. Wł. Żeleńskiego. Koncert rozpoczęła p. Siegenfeldówna Beethovena sonatą appassionatą opus 57, która zważywszy na wielkie zimno w sali będące poszła wcale dobrze. Młoda koncertantka, która dalej kształcić się zamyśla, posiada już dziś niezwykłą technikę palcową, równość gry i plastykę wyrazu. Znakomita jej technika wyszła na jaw głównie w utworach Liszta, a mianowicie w polonezie E-dur, jakoteż w Gondolierze i Tarantelli tego mistrza. W Tarantelli te piękne figurki i ornamentyka tamże zawarte wyszły z pod jej palców jak wyrzeźbione Ogólne oklaski wywołała ta obiecująca artystka odegraniem wraz z p. Żeleńskim Fantazji węgierskiej Liszta na dwa fortepiany. Drobne ręce atoli nie dozwalają koncertantce brać oktawy. Pani Mikuliczowa, którą po raz pierwszy usłyszeliśmy jest przedewszystkiem osobą bardzo muzykalną i wnikającą w ducha każdej odśpiewanej pieśni. Szkołę posiada bardzo dobrą; głos nie wielki, ale materjałem tym umie amatorka dobrze rozporządzać.

Pieśń „Widmuny“ Schumanna i „Frühlingslied“ Mendelsohna, a nawet trudna arya Beethovena była dobrze pojętą i wykonaną. Akompanjował do śpiewu p. Żeleński. Mamy nadzieję, iż odtąd częściej usłyszymy w koncertach panią Mikuliczową, a wtedy i bliższą ocenę o głosie i szkole jej podać będziemy mogli.

Maurycy Sieber.

ROZMAITOŚCI.

Miejska ochota.

Panie gościu witaj miły,
Do chałupki tej pochyłej.
Twą się cieszę tu osobą,
Gotów wszystkiem dzielić z tobą,
Ze wszystkiej ci radem chęci,
Jeno to miej na pamięci,
Stół mój, rożen, kufel z rosztem, —
Twym pieczenia, wino kosztem. (Kochowski)

Leniu! rzuć jaja — A czy obłupione? (Rysiński)

Mléwo.

Bądźmy sobie bracia radzi,
Jak we młynie, cóż to wadzi?
Byle posiedzieć wesoło.
Gęba jest młyn, język koło,
Gardło rzeka, wino wodą,
A młynarkę niech przywiodą
Dobra myśl lepiej popłynie,
Będzie wszystko jak we młynie. (Kochowski)

Djabeł Ewę po włosku uwodził, Ewa Adama po czesku, Bóg ich po niemiecku gromił, anioł zaś po węgiersku z raju wygnał. (Rysiński)

Żołnierz i doktór.

Pobitych nieprzyjaciół żołnierz z chluby liczy,
Doktor co ich pogubił, siedząc społem milczy.
Gospodarz rozśmiawszy się, tem obu zagai:
Jeden się z fałszu chwali, drugi z prawdą tai.
(Kochowski)

Wychodząc z fossy kazałem ja swoim wołać: „Jezus, Marja.“ lubo insi wołali: „hu, hu, hu!“ bom się spodziewał, że mi więcej pomoże Jezus niżeli ten jakiś pan Hu. (Pasek)

Stan małżeński.

Stan małżeński zakon jest, jak inne zakony,
Jeszcze w raju dla ludzi wszech postanowiony.
Rok probacji insze gdy reguły mają,
I Paweł chce, niechaj się ludzie doświadczają.
Ale pewna, by się tak doświadczać godziło,
Snaćby mało profesów w tym zakonie było.
(Kochowski)

Herb Topór.

Szukając starożytny zkąd jest Topór wzięty,
Pomnię, że się nim Józef pieczętował święty.
Po nim się Chrystusowi jak po ojcu został,
A zaś się po Chrystusie Korycińskim dostał.
(Kochowski)

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.

— *Juljan Kołaczkowski* wydał we Lowie spis zabytków pozostałych po Sobieskim p. t. *„Pamiętniki po Janie III.“* prosząc o uzupełnienia.

— *Na konkursie warszawskim* na sztukę jednoaktową dla teatru amatorskiego otrzymał nagrodę p. *Franc. Lanci* za utwór p. t. „Rocznica ślubu,“ a odznaczenie za sztukę „Drugi raz“ p. *Bronisław Grabowski*. Ciekawi jesteśmy o wynik odroczonego konkursu krakowskiego na sztukę ludową z czasów Sobieskiego. 1 Kwietnia już minął, a niesłychać o nadesłaniu rękopisów.

— *Biesiada literacka* wydała już 1 zeszyt „Złotej przędzy poetów i prozaików polskich“ w dosyć starannem wydaniu ale bez wyboru.

— Księgarnia Cotty w Stutgardzie wydała *Wagner-Lexicon* zawierający zasady muzyki Wagnerowskiej i pogląd estetyczny na dzieła mistrza.

— Księgarnia polska we Lwowie wydała „Fausta“ Goethego ale w czyim przekładzie wcale nie podaje.

— *„Przeglądu Akademickiego“* numer 3 z 25 marca przedstawia się lepiej od poprzednich. Porusza sprawę stypendyów, podaje wskazówki prof. Mikulicza o zakresie studjów chirurgicznych, zgrabny przekład ody jednej Horacego i rzecz o Tow. bratniej pomocy. Korespondencje, kronika i bibliografja dość obfite.

— Wyszedł z druku tom 5 i ostatni pism J. Supińskiego.

— Dr. *K. Biegeleisen* odnalazł w bibliotece zakładu Ossolińskich we Lwowie manuskrypt ks. *P. Woronicza* zawierający plan epopeji w 24 pieśniach p. t. *Jagiellonida.*

Z dziedziny malarstwa muzyki, rzeźby, teatru i architektury.

— *Z powodu Jubileuszu Rafaela w Rzymie* przesłał Jan Matejko następujący telegram:

„My Polacy artyści pełni czci dla największego z wielkich, łączymy się myślą z Wami wspominając chlubę Włoch Rafaela Sanzio. W imieniu wszystkich Jan Matejko.

— We wspaniałem dziele wydawanem przez księgarnię stutgardzką Pawła Neffa p. t. *Denkmäler der Kunst* znajdujemy na tablicy 148 nr. 6 reprodukcją obrazu J. Matejki, Stefan Batory pod Pskowem“ a na tablicy 154 nr. 1. Siemiradzkiego „Pochodnie.“ Obraz pierwszego znajduje się pod napisem: *„Deutsche und österreichische* Historienmalerei“, drugiego pod napisem *„Russische*(!!)..... Malerei.“ Długoż to jeszcze trwać będzie to lekceważenie sztuki polskiej?

Odpowiedzi od Redakcji.

Panu S. R. w M. Momus kosztuje 80 ct. w oprawie 1złr 20 ct. Na koszta przesyłki zechce Pan dołączyć 15 ct.

Broszura „Kwestja polska“ znajduje się na głównym składzie w księgarni K. Bartoszewicza i kosztuje 50 ct.

Pani W. w K. Józef Korwin jest pseudonimem utalentowanego młodego pisarza p. J. Kuczyńskiego, którego wiersz i nowellę w Nrze dzisiejszym drukujemy.

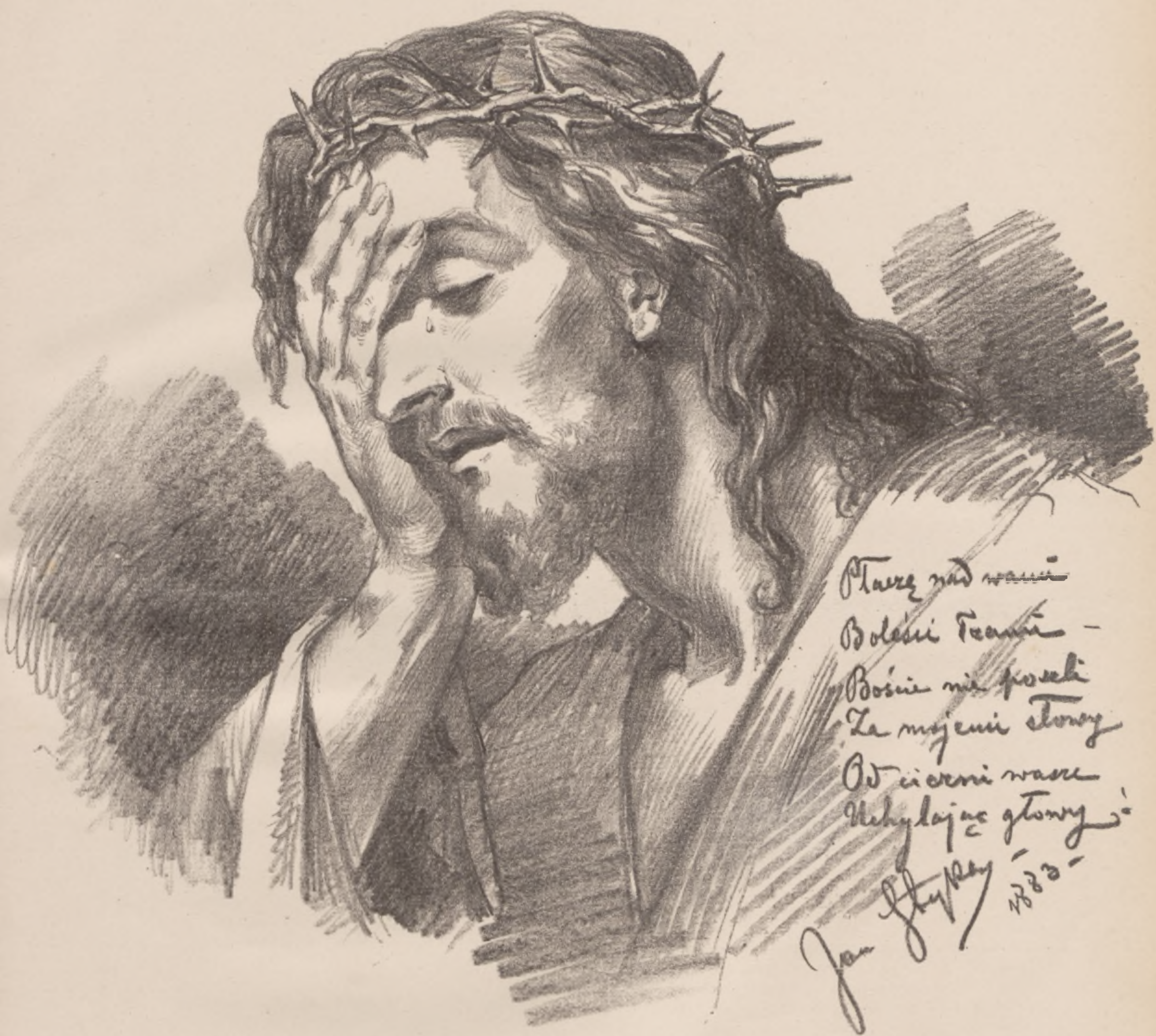
Panu R. T. w Krakowie. Gdybyż ciocia miała wąsy..... Przysłowie mówi: Czy ryba czy rak Kandyba durak – Czy rak czy ryba durak Kandyba — Czy siak czy tak Kandyba durak.

Panu M. S. w T. „Pasztet przekładany truflami“ nie jest bynajmniej pióra Żółkowskiego i nie odznacza się dowcipem. Autorem broszury: „Schwarz-Kamiński-Laenderbank“ jest dr. Wolski. Cena jej 40 ct. Skład główny w księgarni K. Bartoszewicza w Krakowie.

Panu Z. Choroba pisze się przez *ch*, a hufiec przez *h*. Naprzód się Pan tego naucz, a później dopiero pisz wiersze.

Pani J. D. Dziękujemy serdecznie. Książki posyłamy. Polecamy się pamięci.

Do tego Nru dołącza się rysunek J. Styki: Głowa Chrystusa.



GŁOWA CHRYSTUSA

rysunek J. Styki.

